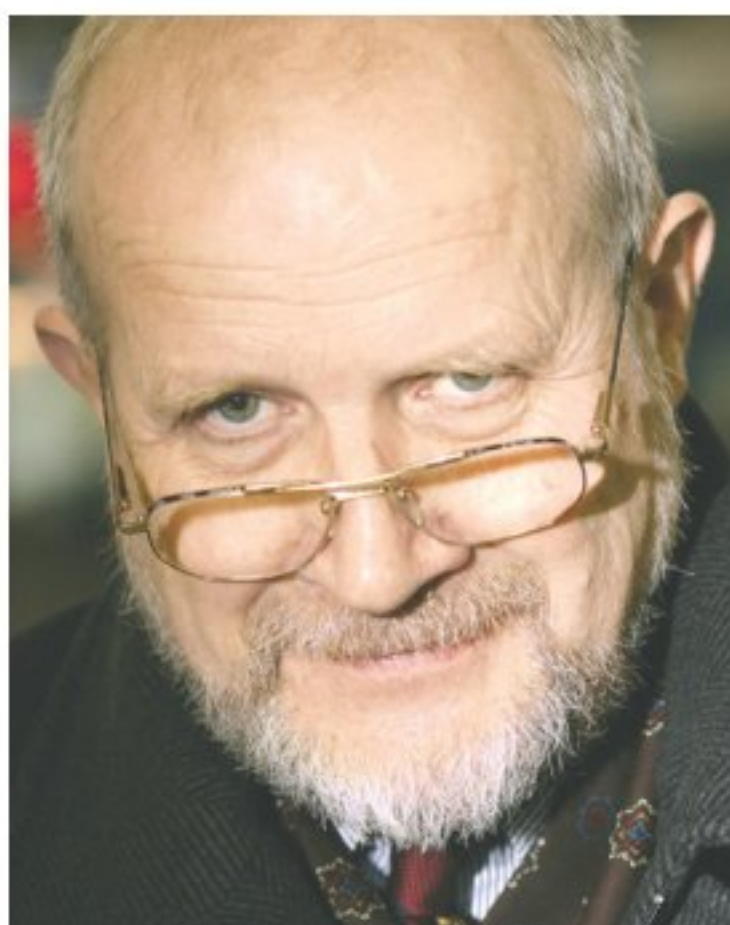


Z Galicji



Jan Widacki

Przeczytałem w ostatnim PRZEGŁĄDZIE ranking ministrów spraw zagranicznych. Chciałbym do tego dodać kilka swoich uwag. Subiektywnych rzecz jasna. Z 14 ministrów pierwszych czterech znałem służbowo. Gdy byłem ambasadorem na Litwie, polską dyplomacją kierowali kolejno Krzysztof Skubiszewski, Andrzej Olechowski, Władysław Bartoszewski i Dariusz Rosati. Tu skalę porównawczą mam pełną. Jeśli chodzi o pozostałych, to wprowadzić część z nich znałem osobiście, ale ich działalność mogłem oglądać tylko z zewnątrz.

Z „moich” czterech ministrów każdy był inny. Krzysztof Skubiszewski, starszy pan, dżentelmen w każdym calu, nieco sztywny, trzymający dystans, był nie tylko znakomitym, budzącym respekt znawcą prawa międzynarodowego. Jego urzędowanie przypadło na najtrudniejszy okres. Objął funkcję, gdy Polska musiała przeorientować zupełnie swoją politykę zagraniczną na prozachodnią. Gdy trzeba było prowadzić trudne rozmowy o wyjściu wojsk radzieckich z Polski i układać stosunki

przekonsultować ważną sprawę. Uprzedzony przez jego współpracowników cierpliwie zniosłem potok słów, które wylał na powitanie, a gdy przerwał, by zaczerpnąć tchu, ja zacząłem mówić, wyrzucając z siebie słowa jak potrafiłem najszybciej, nie robiąc przerw, żeby on nie mógł się wstrzelić... Mogłem sobie na to pozwolić, bo znałem prof. Bartoszewskiego jeszcze z czasów, gdy przyjeżdżał do „Tygodnika Powszechnego”. Dlatego jakoś to zniósł. Ale jedna pani ambasador, kobieta delikatna, kończyła misję i chciała złożyć ministrowi sprawozdanie, przekazać swoje spostrzeżenia. Nie udało się jej. Przez godzinę spotkania mówił tylko minister, niekoniecznie na temat, nawet nie dopuścił jej do głosu.

Nie dane mi było z bliska obserwować pracy jako ministrów spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza, Daniela Rotfelda czy Radosława Sikorskiego. Ale wiem, że byli bardzo dobrymi ministrami, a polska dyplomacja pod ich kierunkiem osiągnęła wiele sukcesów.

Ministrowie spraw zagranicznych

z nowymi państwami powstającymi po rozpadzie ZSRR. A nie były to sprawy proste, z uwagi na postawy zarówno niektórych rządów nowych republik, jak i wewnętrznej, na szczęście wtedy jeszcze słabej, narodowej prawicy, domagającej się układania tych stosunków z pozycji siły lub co najmniej z pozycji polityki historycznej, choć to pojęcie jeszcze nie było w obiegu.

Do tego dochodziła potrzeba wprowadzenia istotnych zmian kadrowych w polskiej dyplomacji. Ludzi dobierał starannie, nie robił żadnych rewolucyjnych czystek, stawiał na kompetencję i uczciwość. Wszystkie te zadania, które przyszło mu wykonywać, wymagały ogromnej siły woli, wyczucia polskiej racji stanu, zdrowego rozsądku i przede wszystkim olbrzymiego taktu. A Krzysztof Skubiszewski miał siłę woli, dużo zdrowego rozsądku, dobre wyczucie polskiej racji stanu i wiele taktu. Miał więc wszystko to, co w dyplomacji najważniejsze. Co więcej, miał wsparcie prezydenta Wałęsy, który darzył go zaufaniem i do polityki zagranicznej mu się nie wtrącał. Miał też zaufanie kolejnych premierów.

Znakomitym ministrem był Andrzej Olechowski. Pod wieloma względami przeciwieństwo Skubiszewskiego. Inteligentny, błyskotliwy. Na tle sztywnego poprzednika prawie luzak. Obyty w świecie i dobrze rozumiejący współczesne realia, sprawny menedżer ministerstwa i polskiej polityki zagranicznej. O ile Skubiszewski każdą decyzję ważył godzinami, o tyle Olechowski potrafił ją podjąć błyskawicznie.

Władysław Bartoszewski – z nim mam problem. Człowiek instytucja, wielkiej mądrości i szlachetności, zasłużony jak mało kto, o pięknej przeszłości. Zasługiwał na najwyższe order i pomniki. Ale moim zdaniem na ministra się nie nadawał. Nie słuchał, tylko gadał, gadał... Wyrzucał z siebie słowa jak czynny wulkan lawę. Przyjechałem do niego z Wilna, by

Również wybitnym ministrem spraw zagranicznych był Bronisław Geremek. Podobnie jak Rotfeld cieszył się w świecie ogromnym autorytetem. Miał wielu znajomych wśród możnych tego świata. Wpływ na polską politykę zagraniczną miał już wcześniej, bo przez lata kierował sejmową Komisją Spraw Zagranicznych. Jego autorytet w tej dziedzinie był tak wielki, że mimo zmieniających się większości sejmowych on zawsze był wybierany na tę funkcję. Tak naprawdę to polityka zagraniczna była jego żywiołem. Myślę, że ze szkodą dla Polski ministrem spraw zagranicznych został za późno, a funkcję sprawował za krótko.

Stefana Mellerę poznałem, gdy jako profesor historii przyszedł do MSZ na stanowisko wicedyrektora departamentu. Razem negocjowaliśmy traktat z Litwą. Później spotkałem go, gdy był ambasadorem w Paryżu, a ja przyleciałem z prezydentami Polski i Litwy do Giedroycia. Nie mogłem się nadziwić, że zgodził się zostać ministrem w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza. Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat. Uważał, że polityka zagraniczna to zbyt ważna sprawa i trzeba w tym fatalnym rządzie (co do tego nie miał złudzeń) bronić jej przed oszołomstwem, jak długo się da. Ale – jak twierdził – wszystko ma swoje granice. Nie przekroczył ich. Podał się do dymisji w 2006 r.

W rankingu PRZEGŁĄDU ministrowie Zbigniew Rau, Anna Fotyga czy Witold Waszczykowski zajmują ostatnie miejsca. To dla nich zbyt taskawe. Oni są poza każdą klasyfikacją. A samo zestawienie ich nazwisk z takimi jak Olechowski, Skubiszewski czy Geremek wydaje się nieporozumieniem. Gdy Anna Fotyga była ministrem, myślałem, że gorzej już być nie może. Myliłem się. Po niej ministrem został Witold Waszczykowski.